

ECHO ZŁOTORZYI

Nr 4 (192) 2023

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pięgrzymka - Świerzawa - Wojdieszów - Zagrodno - Złotoryja

Cena: tylko 4 zł

ISSN 1897-4023



Karuzela

Jest taki wiersz Miłosza, bez którego nie wyobrażam sobie omawiania twórczości poety. To „Campo di Fiori”. Kochałam ten wiersz już wtedy, gdy byłam licealistką i słuchałam go w wykonaniu Romana Kołakowskiego. Kochałam go za prostotę i dosadność. I za prawdę, która nie przemija niezależnie od ustroju. Poeta pisze o obojętności tłumów na tragedię, która tłumowi nie dotyczy. Niezależnie od tego, czy jest to stos ustawiony na tytułowym Campo di Fiori w Rzymie, gdzie z wyroku inkwizycji płonie filozof, Giordano Bruno, czy getto warszawskie w kwietniu 1943 roku - zawsze język ginących jest obcy tym, którzy zostają. Miłosz jako poeta robi to, co poecie przystoi – buntuje się przeciw zobojętnieniu i zapomnieniu, „co rośnie, nim jeszcze ogień przygasnął.”

„... Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo...”

Tylko co znaczy bunt poety w czasach, kiedy nie czyta się, nie słucha się poezji? Jedyne w szkole trzeba ją wymęczyć, bo wciśnięto ją w kanon lektur.

Kiedy omawiam wiersz noblisty z uczniami, dyskutujemy, czy ta karuzela istniała naprawdę, czy może jest tylko chwytem retorycznym, swoistą licencją poetycką na użytek tekstu. Co prawda o karuzeli wspominają autorzy kilku testów literackich, między innymi Marek Edelman - ostatni przywódca powstania w getcie warszawskim, ale są też tacy, którzy uważają, że to miejska legenda, która miała pokazać w złym świetle warszawiaków obojętnych na dramat po nieryjskiej stronie muru; że to uderzająca w Polaków syjonistyczna propaganda. Przecież my zawsze byliśmy bohaterami!

Ale wbrew tym głosom po karuzeli zostały ślady. Jest na wojennych zdjęciach zrobionych w kwietniu 1943 roku. I to nie jedna, a trzy, typowe wesołe miasteczko.

Stoi jak wyrzut sumienia.

Historia powinna nas uczyć. Byłoby dobrze wyciągać z niej wnioski, by nie popełniać kolejnych niewybaczalnych błędów. By nie otulać się obojętnością jak mięciutkim kocem, który daje nam złudne poczucie komfortu i bezpieczeństwa. Byłoby dobrze reagować na niesprawiedliwość, brutalność i ludzką krzywdę, bo nigdy nie wiemy, po której stronie mury przyjdzie nam kiedyś stanąć. Kto i gdzie ustawi tę nową karuzelę.

 Iwona Pawłowska



Archeolog z aparatem

Dlaczego archeolog zajął się zdjęciami? Czy wcześniej robiłeś zdjęcia?

Robiłem tak jak każdy. Miałem aparat i tak sobie pstrykałem. I wydawało mi się, że jest fajnie. W liceum, albo nawet już po skończeniu szkoły razem z kolegami nakręciliśmy film aparatem, na zamku w Grodźcu. Był film fantasy. Było oparte o nasze wspólne zainteresowania. Trochę się wydurnialiśmy. Jako młodego człowieka ciągnęło mnie do takiej aktywności. Ale potem przez 20 parę lat nie robiłem zdjęć. Wydaje mi się, że nie mam duszy artysty, jestem archeologiem, ale lubię to robić, jak się okazało.

Kiedy zaczynałeś bawić się z fotografią, nie robiłeś zdjęć cyfrowkami, tylko analogowymi aparatami?

Tak a na dodatek filmy były bardzo drogie. Szczególnie jak na kieszeń młodego człowieka. Więc trzeba było bardziej oszczędzać.

Kiedy odkryłeś na nowo fotografię?

Niedawno. Dwa lata temu.

I wtedy od razu pomyślałeś o portretach?

Znajoma zachęciła mnie do tego, bo stwierdziła, że moje portrety wychodzą lepiej niż niejednego fotografa mody. Na

ile to było podyktowane kurtuazją, a ile było w tym szczerości, nie wiem ☺. Ale zakładam, że nie musiała tego mówić. Trochę się ucieszyłem, bo znałem fotografa, do którego zdjęć porównała moje i wiem, że jest w tym, co robi fachowcem.

To cię zmotywowało?

Nie nakręcałem się, ale uznałem, że jest jakiś sygnał, który mi bardzo pasował, bo i tak chciałem robić portrety. Jednak robienie portretów to jest trudny proces, bo fajnie jest, jak się ma kogoś, kto zapozuje. Nie chciałem wykorzystywać rodziny ani znajomych, bo mogą się stresować, być skrupowani w takich sytuacjach. A to zniechęca.

Czyli od razu zacząłeś fotografować modelki?

Tak. Już kiedy miałem sklep z koszulkami, no to musiałem mieć zdjęcia, wtedy nie stać mnie było na profesjonalnego fotografa i żeby nie generować kosztów, sam robiłem zdjęcia naszych ciuchów na modelkach. Całkiem fajnie to wychodziło i spodobało mi się.

Skąd brałeś modelki?

Na przykład poprosiłem znajomą z Olszaniczy, Kasię Sobków i zgodziła się zapozować. Nie były to dziewczyny z modelingu, bo nie one pracują z takimi amatorami, a jeśli już, to za wynagrodzeniem. Układ jest taki, że początkujący fotograf pracuje z początkującymi modelkami, jak dobrze pójdzie, on zdjęciami lansuje dziewczynę, a ona fotografa, czyli zasada TFP, coś na wzór wymiany barterowej.

Jak nawiązujesz relacje z modelkami, by wyszło dobre zdjęcie?

Mam dystans do siebie i żartem rozładuję atmosferę, łamię dystans. Dziewczyny rozluźniają się i czują się swobodniej.

Robisz tak zwane odważne zdjęcia?

Nie, nie robiłem, krępię się tego. Nie chciałem zostawać w takiej sytuacji z modelką sam na sam. Poza tym zwykle robię zdjęcia w plenerze, bo nie mam swojego studia, wynajmuję jedynie, więc nawet nie byłoby warunków do takiej sesji.

Jak byś określił styl swoich zdjęć?

Myślę, że można je nazwać baśniowymi. Mam znajomą krawcową, Agnieszkę Ligas z Chojnowa, która szyje mi suknie do sesji w takim stylu i właśnie wyróżniam swoje fotografie przez strój, w których pozuje modelka.

Jak się w tym odnajdujesz?

Ale na razie jestem na etapie nauki. Dopiero niedawno zacząłem być zadowolony ze swoich prac. I dlatego przyszło mi do głowy, by iść w zdjęcia komercyjne. Już mam taką grupę - jak ja to nazywam - wsparcia: wspomnianą krawcową, makijażystkę, stylistkę, asystenta i mógłbym wykorzystać ten potencjał do czegoś więcej niż sesji amatorskich. Jak się dobrze ułoży, to chciałbym zacząć robić też zdjęcia weselne. Udało mi się nawiązać współpracę ze Szkołą Tańca Prima w Bolesławcu, gdzie uczy się pierwszego tańca oraz z Black & White Wedding także z Bolesławca. Panie - właścicielki tych firm zdecydowały się wesprzeć moją pracę.

Zdjęcia sesyjne czy reportażowe?

Myślę, że kompleksowo i to, i to. Umówmy się, że jeśli chciałbym zarabiać jako fotograf, to pieniądze szybciej się robi na weselach niż na modzie. No chyba, że bym mieszkał na przykład w Warszawie, to na modych zdjęciach może być coś z zrobić ☺. Tu na to nie ma rynku.

A wracając do moich zdjęć baśniowych, to też chciałbym iść krok dalej, aby te obrazy miały charakter narracyjny, zaczęły opowiadać historię, może nasze lokalne legendy. Ale to jest skomplikowane i jeszcze nie zmierzylem się z tym.

Mówiłeś o grupie wsparcia, czyli ile tak naprawdę osób jest zaangażowanych w powstanie dobrego zdjęcia?

Niby wystarczy fotograf i modelka, ale umówmy się, że ogromną rolę odgrywa też światło i pod tym względem pomaga mi Paweł Kanikowski, który taszczy za mną sprzęt do oświetlania, doświetla blendą, operuje lampami.

Modelka przychodzi do ciebie na plan ubrana już w kostium, umalowana, wyczesana?

Na początku zapewniałem stylizacje w postaci strojów, a dziewczyny malowały się same. Nie zawsze to było dobre, bo makijaż do zdjęcia rządzi się innymi prawami niż dzienny, musi być bardziej wyrazisty. Dlatego zacząłem poszukiwać makijażystek, które mogłyby mi pomóc. Dowiedziałem się, że i makijażystki, i stylistki, i fryzjerki też pracują na zasadzie TFP, by zareklamować swoje usługi, wylansować się w mediach społecznościowych przy okazji zdjęć sesyjnych. Skorzystałem z tego. I teraz modelka ma kompleksową obsługę przed sesją.

Wolisz zdjęcia w plenerze czy studyjne?

Na początku robiłem tylko w plenerze, ale teraz kiedy wynajmuję studio w Bolesławcu, bardziej mi odpowiada taka przestrzeń. Tym bardziej, jak nauczyłem się operować lepiej lampą. Dziewczy-



Aniela Kurpiel

ny wolą zdjęcia w studio, bo w plenerze warunki atmosferyczne są zmiennie, a nie każda modelka lubi chłód czy wiatr.

Ile trwa taka sesja?

Z reguły około 2 godzin. Samo przygotowanie (fryzura, makijaż) jeszcze godzina.

Czego dziewczyny, kobiety oczekują od zdjęcia?

W fotografii jest tak, że zdjęcie powinno pracować na korzyść modelki. Fotografia ma podnieść samoocenę. A kobiety bardzo często są niezadowolone ze swojego wyglądu, co jest pochodną kultury mediów, obecności filtrów instagramowych. To jest wyzwanie dla fotografa. Po to szukałem wsparcia makijażystki i stylistki, by dzięki swej fachowości wydobyły z modelki to, co najlepsze, aby nie używać filtrów, obróbki Photoshopem i z twarzy robić maski. Choć Photoshop sam w sobie nie jest zły, ale raczej do drobnej korekty.

Fotografujesz tylko kobiety?

Zdarzyło mi się parę razy mieć przed obiektywem mężczyzn. Raz wziąłem udział w plenerze szkoleniowym na Pustyni Będowskiej, tam pozował nam

model – uczestnik jakiegoś reality show. Ale pierwszym moim modelem był Wiesław Surówka z Grodzca. Bardzo dobrze pozuje, ma jakąś cechę aktorską, że



Aurelia Skiba



Urszula Jaworska



Małgorzata Anna Wiktorja



Angelika Kierepka

świetnie zmienia się przed obiektywem. Zazwyczaj jednak pracuję z modelkami. **Modeli kontrolują efekt twojej pracy na bieżąco?**

re widzą się podczas sesji na zdjęciach, robią ładniejsze miny, przybierają kozystniejsze pozy. To taki efekt instagramowego selfie, gdzie dziewczyna sama kontroluje swój wizerunek. To mi dało

do myślenia.

Masz jakieś triki, które wykorzystujesz, by zdjęcie wyszło naprawdę dobrze?

Może nie triki, ale pewne doświadczenia. Na przykład to, że dobrze mieć kogoś do pomocy, kto kontroluje pewne niuanse, których sam nie dostrzegam, zajęty zrobieniem zdjęcia, na przykład czuwa, by włosy modelki nie zasłaniały część twarzy, gdy nie powinny. Tego Photoshop już nie wymaże ☺.

No i z doświadczenia też wiem, że jak nie do końca uda mi się zagrać ostrością, to zdjęcie można przerobić na czarno-białe, wtedy wygląda dużo ciekawiej. Ale ostatnio zauważyłem, że zapanowała jakaś moda na zdjęcia rozmyte, oniryczne, a nie ukrywam, że to bardzo lubię.

Zdarza się, że tobie zdjęcie się podoba, a modelce nie?

Zdarza się. I to nie tylko mnie. Czasem się staram, wiem, że zdjęcie jest zrobione dobrze, właściwy kadr, światło odpowiednie, wrzucam w sieć i reakcje są bardzo skąpe, lajków niewiele, a innym razem sam mam uwagi do zdjęcia, a ono zbiera świetne recenzje. Sam nie wiem, o co tu chodzi. Trudno zrozumieć gusty. Czasem oczekiwania wobec zdjęcia rozjeżdżają się.

W jakim wieku są twoje modelki?

W różnym. Minimum pełnoletnim ☺. W ubiegłym roku robiliśmy taką kameralną sesję dla pań w Kliczkowie, chyba z okazji Dnia Kobiet i modelkami były panie sześćdziesięcioletnie. Każdy fotograf ci powie, że panie dojrzalsze są bardziej wymagające. A biologia, czas i grawitacja są nieubłagane. Panie chciałyby wyglądać młodo i to rozumiem. Są pewne kanony, do których próbują się dostosować. A ja jednocześnie chciałbym pokazywać ludzi tak, jak wyglądają i ostatecznie zdjęcie staje się wypadkową wielu rzeczy. A wyobraź sobie, że nawet trzydziestoletnie dziewczyny pro-

szą o wymazywanie zmarszczek. Wszyscy dążą do perfekcyjnego wizerunku. I teraz pytanie, który fotograf ma lepiej, nawet pod względem finansowym, czy ten co pokazuje ludzi takimi, jak chcą się

widzieć, czy tak jak sam widzi?

O, na to pytanie odpowiedział Krasiński w bajce „Malarze” – jasne, że ten pierwszy ☺. Klient – nasz pan.

Widzisz i w takiej sytuacji wejście na rynek profesjonalnej fotografii nie jest łatwe. Poza tym zobacz, jaka jest konkurencja. Nawet w samej Złotoryi. Niedawno, oglądając instagram odkryłem, ile mamy w mieście fotografek i to są przede wszystkim same panie. Naprawdę niełatwo się przebić.

Trzeba się czymś wyróżnić. Wypełnić jakąś niszę. Myślę, że baśniowym klimatem swoich portretów masz na to szansę.

Czasem zastanawiam się, czy nie ocieram się o kicz. Inspirują mnie ilustratorzy książek fantasy – zatem bardziej sztuka użytkowa niż ta przez duże S. Stąd te moje zdjęcia są takie słodkie, być może kolorystycznie niedopasowane. Ale tym nasiąknąłem w latach 80., kiedy byłem dzieckiem. Pamiętam, jak mając chyba 10 lat, pojechałem z rodzicami nad morze i tam zobaczyłem obraz Borisa Vallejo w typowej dla niego stylistyce ocierającej się o baśniowość, na którym byli kobieta, mężczyzna i lew. Stałem przed nim w szoku i patrzyłem jak zaczarowany. Myślałem, że to też na mnie wpłynęło. Zdjęcia, które teraz robię są wypadkową moich nieumiejętności i moich fascynacji.

Który moment z całego procesu robienia zdjęcia uważasz za najfajniejszy?

Chyba każdy. Lubię interakcje z ludźmi, a więc samo fotografowanie jest fajne, potem, jak wrzucam zdjęcia na komputer i widzę efekt, to też ekscytuje, a następnie reakcja ludzi na zdjęcie – to ten etap wieńczący pracę. O ile sam jestem krytyczny wobec swoich zdjęć, to coraz częściej słyszę dobre opinie o tych pracach i to cieszy. Tym bardziej, że zauważyłem, jak ludzie, szczególnie w mediach społecznościowych, są krytyczni i rzadko chwalą innych. Dlatego każda pozytywna reakcja płynąca do mnie z zewnątrz jest taka fajna. Takiego nastawienia uczy mnie Marta Zarazińska, przездolna złotoryjska fotografka.

Nie miałeś jeszcze wystawy?

Nie ☺ nawet nie przysmyrzam się do tego. Nie uważam się za artystę. Nie dokładam też filozofii do tego, co robię. Jestem archeologiem ☺.

z Mariuszem Łesukiem rozmawiała Iwona Pawłowska



Troska o ziemię

Nazwisko pana Wiesława Skopa kojarzyło mi się do tej pory z produkowanym przez niego pysznym miodem. Nie jest to jednak główna dziedzina jego działalności. Pan Wiesław jest przede wszystkim rolnikiem, który wykonuje swoją pracę z ogromną pasją, wiedzą i zamiłowaniem.

Proszę opowiedzieć nam o swojej rodzinie.

Babcia Józefa - mama mojego Taty przyjechała z piątką dzieci do Jerzmanic spod Lwowa, z miejscowości Biało-horszcze, w listopadzie 1945 roku. Dziadek Antoni wrócił z wojny dopiero w lutym 1946 r. Zamieszkali w domu nr 38. Na Wschodzie mieli małą gospodarzkę, a dziadek dodatkowo pracował w tartaku. Rodzice Mamy mieszkali od pokoleń w Bielinach w Rzeszowskim – 3 km od miejscowości Rudnik nad Sanem, gmina Ulanów. Moi rodzice; Maria i Mieczysław poznali się tutaj, gdy Mama przyjechała do swojej ciotki. Mieszkali z rodzicami Taty do 1969 r. Potem kupili sobie małe gospodarstwo pod nr 33. Tato pracował wiele lat jako murarz.

Jak zaczęła się Pana przygoda z rolnictwem?

Zajmowali się tym już dziadkowie ze strony taty. Potem moi rodzice przejęli po nich gospodarstwo. Pomagałem im, ale nie wyobrażałem sobie jeszcze wtedy, że będę rolnikiem. Chciałem stąd jak najszybciej uciec. Skończyłem szko-

łę zawodową na kierunku tokarz. To nie była jednak moja pasja. Potem 5 lat jeździłem jako kierowca. Później kolejno: pracowałem na kolei, prowadziłem wozy technologiczne w kamieniołomach, Długo szukałem swojej drogi. Dopiero, gdy miałem 32 lata, stwierdziłem, że to jest to, co chcę robić. Czuję chęć kontynuowania pracy Taty. Zależało mi na ziemi. Przepisał mi gospodarstwo, gdy był w wieku emerytalnym i zdrowie mu już nie dopisywało. W 1990 r. kupiliśmy dom, w którym obecnie mieszkamy i zabudowania jako mienie popegeerowskie. Wymagało dużego remontu, ale teraz gospodarstwo powoli się rozwija. To po rodzicach było małe - takie gospodarstwo socjalne, prawie samowystarczalne: trochę zwierząt, własne - poza chlebem i cukrem, produkty spożywcze. Obecne jest ponad 20 razy większe. Początkowo mieliśmy hodowlę krów i świń, ale przestała być opłacalna. Poza tym nie było jeszcze takiej mechanizacji, jak teraz. Mieliśmy tylko ciągnik po ojcu. Podjęliśmy decyzję, że zajmujemy się tylko uprawą ziemi. Pierwszą kupioną przez nas maszyną była kosiarka do trawy, potem opielacz do buraków i kombajn. Przydział na ten ostatni wygrałem w konkursie wojewódzkim dla rolników. Musiałem zdobyć kredyt na jego kupno.

Czy Pani chciała być żoną rolnika?

Pani Elżbieta: Jak poznałam męża, to był robotnikiem - pracował na Krzenio-

wie. Ja pracowałam zawodowo po szkole gastronomicznej. Moi dziadkowie ze strony Mamy pochodzili z Wołunia - powiat Dubno, gromada Olibów. Babcia była świadkiem tamtejszych zbrodni na Polakach, ale nie chciała o nich opowiadać. Sami cudem przetrwali. Jej siostra

Teraz, razem z synem, pomagam mężowi. Jak trzeba było, też prowadziłam maszyny. Odkąd syn dorósł, zajmuję się pracą w domu. Na początku Andrzej nie za bardzo chciał pomagać, ale teraz go to wciągnęło.

Oprócz uprawy ziemi, hoduje Pan także pszczoły?

Kilka uli i wiedzę o prowadzeniu pasieki odziedziczyłem po Tacie. To bardziej moje hobby niż źródło dochodu. Taka wisienka na torcie całego gospodarstwa - uzupełnienie w zapylaniu, we wzbogacaniu stołu domowego. Należę do związku pszczelarzy, ukończyłem mistrzowski kurs pszczelarski. Moja pasieka jest wielopokoleniowa. Pożytki dla pszczoł są u nas dość ubogie - na miód wielokwiatowy i lipowy. Ten ostatni zależy od pogody w danym roku.

Jak wygląda przeciętny dzień rolnika?

Prace pielęgnacyjne, głównie opryski, wykonuję często w nocy z kilku powodów: nocą jest większa wilgotność po-

ty przemiany grzyba, są o wiele bardziej szkodliwe dla organizmu niż pozostałości po pestycydach. To, co robię w swoim gospodarstwie, to rolnictwo zrównoważone. Przyroda i słońce dają nam możliwości nie naruszania gleby, ale wzbogacania jej. Należy stosować bioróżnorodność i minimalizować zużycie nawozów syntetycznych. Staram się wytwarzać nawóz bezpośredni na polu - w postaci międzyplonów ścierniskowych czy poplonów. Międzyplony to właśnie przede wszystkim ochrona gleby przed erozją wodną i wietrzną, a także wzrost masy organicznej, czyli próchnicy w glebie, a to z kolei zwiększa jej pojemność chłonną w wodę. Z mojego doświadczenia wynika, że 1 kg próchnicy może zmagazynować około 5 l wody. Rośliny uprawne nie odczuwają niedoboru wody w czasie suszy, ale i w czasie długotrwałych opadów deszczu, nie duszą się z powodu braku powietrza w glebie. Uprawiamy pszenicę ozimą, w tym nasienną, kukurydzę, rzepak, grykę, bobik, peluszkę i łubin. Stosujemy mechaniczne zwalczanie ślimaków, siew rzepaku z roślinami towarzyszącymi, jak: bobik i groch, ale też kozieradka, soczewica i trzy rodzaje koniczyn. Uprawa poplonów przyczynia się również do pochłaniania i wiązania dwutlenku węgla w glebie.

Jak się dba o ziemię, to ona sama z siebie wyda plon. Mam nadzieję, że Andrzej godnie nas zastąpi, będzie kontynuował nasze dzieło, dokładając swoje pomysły i innowacje.

Pan Wiesław od paru lat jest Przewodniczącym Rady Powiatowej Dolnośląskiej Izby Rolniczej Powiatu Złotoryjskiego. W 2018 r. został Finalistą XXIV Edycji Ogólnopolskiego Konkursu Rolnik Farmer Roku. W maju 2021 roku jako **Laureat Krajowy** Ogólnopolskiego Konkursu Agro Liga 2021 w kategorii Rolnicy pan Wiesław z żoną odebrali Dyplom Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy. Pan Skop, jako **Laureat** Konkursu Innowacyjny Farmer 2022 w kategorii produkcja roślinna, został zaproszony do wygłoszenia wykładu dla studentów i kadry dydaktycznej na Wydziale Rolnictwa i Ekologii SGGW (Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego) w Warszawie. Wspólnie z synem przedstawił swoją koncepcję zrównoważonego rolnictwa. Cieszy go, że są już rolnicy, którzy idą za jego przykładem.

 **Wioleta Michalczyk**



została na Wschodzie, nigdy więcej się nie spotkały. Dziadkowie ze strony Taty pochodzili z Rzeszowskiego. Mieli tam małe gospodarstwo. Zamieszkaliśmy po ślubie u rodziców męża, więc siłą rzeczy pomagałam w robotach gospodarskich.

wietrza, mniejszy wiatr, brak nasłonecznienia i owadów zapylających. Moje gospodarstwo jest dalekie tego, aby było ekologiczne. Na wielu szkoleniach mówi się o szkodliwości pestycydów, ale tak naprawdę mykotoksyny, czyli produk-

Ogłoszenie o sprzedaży

Przedmiotem sprzedaży są **nieruchomości gruntowe** o numerach ewidencyjnych **926/2, 119, 98/1, 88/3, 88/2,**

V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Złotoryi.

wy jest z ulicy Bolesława Krzywoustego w Złotoryi poprzez drogę gminną - dawny wjazd na teren kopalni Wilcza Góra.

Sprzedaż dotyczy wszystkich działek razem, nie ma możliwości zakupu poszczególnych nieruchomości.

Prosimy o składanie ofert pisemnych (również poprzez pocztę elektroniczną) w terminie do 18.05.2023r. na poniższy adres:

Colas Kruszywa Sp. z o.o.
ul. Nowa 49
82-070 Pałędzie
Email: pawel.marek@colas.pl
Tel.: 696 785 268

W przypadku pytań prosimy o kontakt, jak wyżej.



86/5 o łącznej powierzchni **38,6164 ha**, pozostające w użytkowaniu wieczystym do dnia 5 grudnia 2089 roku, położone w **Wilkowie, obręb 0015, gmina Złotoryja, powiat złotoryjski, województwo dolnośląskie**. Dla nieruchomości urządzona jest księga wieczysta numer KW 15782 LE1Z/00015782/0 prowadzona przez

Są to nieruchomości, na których zlokalizowana była i prowadziła swoją działalność kopalnia bazaltu „Wilcza Góra”. Zdecydowaną większość areatu, tj. działka nr 926/2 o powierzchni 34,91ha, stanowi zreultywowany teren wyrobiska górniczego oraz zwałowisk zewnętrznych. .

Dojazd do w/w nieruchomości możli-



wały style słynnych w owych czasach muzyków, identyfikowały się z zachodnimi subkulturami. Z drugiej strony, środowiska owe odpowiadały na aktualne wydarzenia polityczne państwa, manifestując swoje poglądy w najprostszym i najbardziej nośnym sposobie, mianowicie poprzez ubiór. Wreszcie, moda młodzieżowa zauważalnie wpłynęła na przekształcenie stylu ubiorów damskich i męskich w tych jakże trudnych dla naszej społeczności lokalnej w latach 50.

Połowa XX wieku w Polsce naturalnie nie sprzyjała rozwojowi trendów również i w Złotoryi, jako że społeczeństwo skupiało swoje wysiłki na

jąc najpierw tzw. „emkę”, kurtkę M-43, potem zaś biały, furmański płaszcz. Obydwa te okrycia pełniły tę samą funkcję, mianowicie kreowały aurę wzorcowej męskości.

Jednym z elementów polityki PZPR-u,



który przejął władzę w latach powojennych, była próba odcięcia młodzieży polskiej od wpływów kultury spoza żelaznej kurtyny, również w kwestii doboru mody. Proponowany przez partię właściwy dla młodzieży i jej miejsca w społeczeństwie socjalistycznym ubiór miał

cechować się estetyką, umiarkowanym kolorem, luźnym, wygodnym krojem. Ubrania taśmowo wykonywały według tych zaleceń zakłady państwowe podległe Ministerstwu Przemysłu Lekkiego, a projektantką tamtego okresu została jakże już dzisiaj zapomniana Jadwiga Grabowska. Ubrania były nieatrakcyjne ze względu na jednostajność fasonów i tkanin, oczywiście było zatem, że młodzi ludzie zamierzali wbrew przeszkodom ubierać się zgodnie z własnym smakiem, zaopatrując się w zagraniczne ubrania na bazarach lub otrzymując akcesoria w paczkach od rodzin w krajach Zachodniej Europy lub USA. Towary bazarowe stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania bikiniarzy, grupy opozycyjnej do tzw. przyszczałych, wykształconej na początku lat 50. Zarówno pierw-

nizowane sylwetki dziewcząt, ubranych przepisowo w bluzki zapięte pod szyją, szerokie spódnice, płaszcze, płaskie be-rety. Ubiory preferowane przez władze poszerzały biodra zarówno dziewcząt, jak i młodzieńców. Do gustowniejszych zaliczyć można jedynie dziewczęce letnie sukienki w groszki, kratkę lub drobne kwiatki długości za kolano, z krótkimi rękawami i podwyższoną nieco talią. Bikiniarze wybierali ekstrawaganckie ubiory o jaskrawych kolorach. Symbolem tamtego pokolenia stały się kolorowe skarpetki wspomnianego już przeze mnie L. Tyrmanda. Włosy bikiniarzy czesane były na fryzurę zwaną kaczym kuprem. Ich ubrania odzwierciedlały fascynację modą zachodnią, zwalczaną przez władze komunistyczne: marynarki ubierali obszerne, krawaty kolorowe w egzo-

łeczeństwo zyskało prawo do słuchania jazzu, oglądania zachodnich filmów. W kwestii ubiorów najpoważniejszą zmianą było przekształcenie w 1958 roku Biura Mody w placówkę handlowo-wzorniczą Moda Polska pod przewodnictwem wspomnianej już przeze mnie Jadwigi Grabowskiej. Projektantce złotoryjskie kobiety i nie tylko zawdzięczają gustowne kreacje, gdyż jej bezkompromisowość i charyzma przekonała ministrów do zliberalizowania poglądów na temat strojów kobiecych. Równie istotne było wprowadzenie na rynek symbolu kultury amerykańskiej – dzinsów, które sławą cieszyły się zwłaszcza po wybitnych kreacjach filmowych Jamesa Deana i Marlona Brando. Jednak te w Złotoryi były wielką rzadkością. Koniec lat 50. to także początek powszech-

Moda lat 50. w Złotoryi

A jak to było w modzie w latach 50. w naszym mieście...

Znany Leopold Tyrmand w *Dzienniku 1954* napisał: „Uważam, że ubranie jest najbardziej zewnętrzną emanacją charakteru, indywidualności, zalet i wad, że mówi mnóstwo o człowieku, o jego stanach psychicznych, o jego usposobieniu, marzeniach i tęsknotach, formuje nastroje i samopoczucie...”

Moda w Złotoryi w latach 50. XX wieku kształtowała się w bardzo w specyficznych warunkach. Przede wszystkim pragnąłbym zaznaczyć, że są to początki kultury młodzieżowej, która wykształciła swój własny styl. Uwzględnienia wymagają warunki polityczne i gospodarcze, w których owa kultura przejawiała się chociażby poprzez styl ubierania. Moda w naszym mieście była na wskroś upolityczniona – ubierano się zgodnie z zaleceniami partii lub przeciwko zaleceniom, a znane wtedy projektantki i modelki jak chociażby Barbara Hoff i Grażyna Hase – proponowały rozwiązania, które były kompromisowe. Obok stonowanego stylu starszego pokolenia, środowiska młodzieżowe popularyzowały trendy spoza żelaznej kurtyny, naślado-

walce o przetrwanie w powojennych warunkach. Odzież noszono taką, jaką udało się zdobyć, zniszczoną zaś przerabiano albo reperowano domowymi sposobami. Mimo tych trudności już w początkach lat 50. XX wieku wykształcił się pierwszy młodzieżowy styl, którego motywem przewodnim był wojskowy ubiór. Do Polski trafił wraz z przesyłkami pomocy charytatywnej ONZ oraz UNRRA (o czym pisałem już na łamach *Echa Złotoryi*), które zaopatrywały przede wszystkim w kurtki wojskowe w kolorze khaki. Moda ta, wbrew pozorom, wynikała nie z sympatii proaliantkich (to też ☹️), lecz z prostego braku innego porządnego odzienia. W końcówce lat 40. i początkach lat 50. najpopularniejszym strojem stały się wełniane krawaty, zielone swetry i wojskowe torby, płaszcze amerykańskie z podpinką oraz kurtki z pagonami. Strój taki, uwidoczony w postaci granej przez Zbigniewa Cybulskiego (w którym kochały się dziesiątki dziewcząt złotoryjskich) w filmie *Popiół i diament*, uzupełniały dzinsy i tenisówki na gumowej podeszwie (tzw. pepegi). W styl militarny wpisywał się swoim ubiorem także Marek Hłasko, przywdziewa-



Z archiwum E. Karabczyńskiej



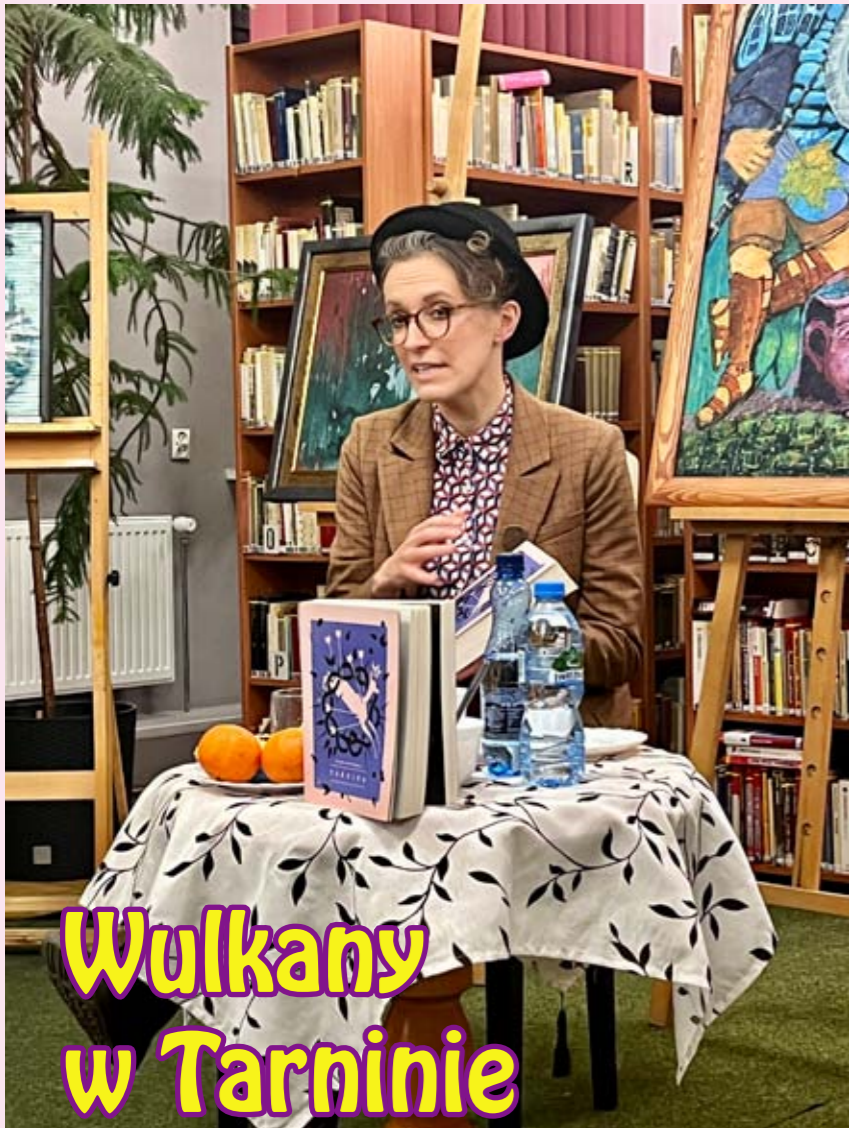
si, jak i drudzy przeżyli okupację wojenną, zaś skonfrontowani z ustrojem, jaki zapanował po wojnie, stworzyli opozycyjne ugrupowania. Większość byłych AK-owców opowiedziało się za nową ideologią, przejmując także wzorzec stosownego ubierania się (byli to właściwie przyszczaści). Dla mężczyzny symbolicznym elementem stroju stał się czerwony krawat i sztywny garnitur, kobiety zaś ubierać się miały skromnie, asekualnie, jak przystało na przodownice pracy. Mimo to, że było to charakterystyczne dla większych miast, to w Złotoryi też odbijało się to szerokim echem. Jestem święcie przekonany, że fotografie z Państwa rodzinnych albumów, które leżą czasem zapomniane w szafach i szufladach prezentują często zmaskuli-

tyczne wzory, lekko przykrótkie i wąskie spodnie, buty na grubej gumowej podeszwie oraz płaskie kapelusze. Kobiety hołdujące owej zakazanej modzie nazywano „kociakami”, a najpopularniejszym pośród nich strojem były kolorowe bluzki, podkreślające figurę sweterki i spódnice według stylu Christiana Diora jeszcze z 1947 roku. Pamiętajmy, że zachodnie trendy docierały do nas później. Prócz tego kobiety zakładały kolorowe apaszki, zaś włosy czesały w „koński ogon”.

Druga połowa dekady lat 50. przyniosła zmiany na scenie politycznej Polski. Władzę przejął wtedy Władysław Gomułka, który zainicjował okres tzw. Małej stabilizacji. W efekcie polskie spo-

nego domowego szycia w Złotoryi (ale prawdę mówiąc był on obecny zawsze od przyjazdu pierwszych złotoryjan po zakończeniu II wojny światowej) i przerabiania niemodnych ubrań dostępnych w sklepach na odzież modną. Zachęcały do tego zwłaszcza gazety, takie jak „Przekrój” w którym publikowała Barbara Hoff, ale też „Filipinka” której stała kolumna „Zrobię to sama!” proponowała przepisy na stylowy element garderoby najczęściej z ogólnodostępnych i nieatrakcyjnych materiałów albo przeróbki posiadanych swetrów czy spódnic.

Prócz zachodniego trendu, popularny styl lat 50. przybył do Polski z Francji w postaci „mody na egzystencjalistów”. Jej wyróżnikiem była czarna garderoba, w warunkach polskich nietatwa



Wulkany w Tarninie

Późną jesienią minionego roku do księgarń trafiła „Tarnina” Marty Kucharskiej. Czeakałam bardzo na ten dzień, ponieważ znałam już fragmenty powieści i wiedziałam, że opisane w niej wydarzenia będą mocno osadzone w realizmie magicznym Gór i Pogórza Kaczawskiego. Zresztą słowa klasycznie opisujące powieść, jak „wydarzenia”, „akcja”, „bohater” nie do końca do „Tarniny” pasują. To kaczawska opowieść drogi, niekoniecznie tej wyrażonej kilometrami. Już w grudniu mieliśmy szczęście gościć Martę w Miejskiej Bibliotece Publicznej na spotkaniu autorskim, które przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych - tyle mieliśmy pytań. A i tak nie wyczerpaliśmy wszystkich. Dlatego wracamy do autorki i drążymy dalej....

Od kiedy mieszkasz na Pogórzu Kaczawskim? Co Cię urzekło tutaj, a co byś zmieniła?

Na Pogórze Kaczawskie przyjechałam mniej więcej sześć lat temu. Trochę z przypadku, o ile przypadki są. I miejsce to na tyle mnie urzekło, że zaczęłam przyjeżdżać tu regularnie, w pierwszej na weekendy, następnie coraz częściej, w każdy możliwy czas. Obecnie mogę powiedzieć, że tak, mieszkam na Pogórzu Kaczawskim, choć na pół etatu, bo jednak cały czas związana jestem z

Wrocławiem i okolicami. A co mnie urzekło? Przede wszystkim przyroda. Bliskość natury, lasów. Spokój, przestrzeń na oddech, na za trzymanie się. I bezpieczeństwo od hałaśliwego miasta i ruchliwych szlaków turystycznych.

W ostatnich tygodniach miałaś kilka spotkań autorskich na terenie Pogórza, wywiad w Radio Zamek Nadaje, Twoje książki można kupić w Młynie Wielistaw - czy czujesz się już częścią lokalnej społeczności?

W coraz większym stopniu tak i bar-

dzo mnie to cieszy, gdy jestem przedstawiana jako autorka, pisarka z Pogórza Kaczawskiego. Pogórze Kaczawskie wiele mi dało i daje, to miejsce, w którym napisałam większość stron mojej powieści pt „Tarnina”, to niejako miejsce „narodzin” „Tarniny”, stąd każde działanie jak np. spotkanie autorskie w tych okolicach, jest dla mnie szczególnie ważne. Bardzo cieszę się spotkaniem z czytelnikami z Krainy Wygastych Wulkanów, przez to, że dzielimy wspólną przestrzeń, jak i przestrzeń, która stała się inspiracją do niejednej sceny z powieści, już jesteśmy pewnymi nićmi związani.

Kraina Wygastych Wulkanów okazuje się krainą indywidualności, kiedyś przez dziennikarza Grzegorza Kapłę Góry Kaczawskie nazwane zostały nawet „ciągle nieodkrytymi Bieszczadami Dolnego Śląska” – jak Kaczawy wyglądają z Twojej perspektywy?

To prawda, od sześciu lat niezmiennie poznaję to miejsce i lokalną społeczność, i przyznaję - nie brakuje tu indywidualności i miejsc nieodkrytych. W powieści piszę o „drogach prowadzących na manowce”, które nierzadko prowadzą lepiej niż te znane, wyglądające, i to drogi jakich wiele w Krainie Wygastych Wulkanów. Tak jak powie-

działam, gdy mówię Pogórze Kaczawskie – w pierwszej myślę o przyrodzie. O tym tunelu z liści, którym przyjechałam pod Ostrzycę w pewien lipcowy wieczór. Ale to także kraina indywidualności z uwagi na ludzi, którzy tu mieszkają od lat albo od całkiem niedawna, którzy inspirowani są tym miejscem. Jedni dbają o szeroko pojęte dziedzictwo tych obszarów, restaurują szachulcowe domy, odnawiają zabytki, inni skupiają się na przyrodzie: zbierają zioła, wiją kosze z wikliny, kolejni starają się dać upust swoim twórczym umiejętnościom: malują obrazy, zajmują się ceramiką, nagrywają podcasty; są i wreszcie tacy, którzy o tym miejscu piszą ☺

Czy śmierć jest w Polsce traktowana jak temat tabu? Polacy mają sporo tabu - dla jednych to będzie przemoc w domu, dla

innych już sama choroba, a jeszcze innych kwestie dotyczące intymności. Śmierć towarzyszy nam na każdym kroku, jest martyrologiczna i bardzo polska – jakby trochę historycznie przepracowana – jak to wygląda ze strony lekarza?

Tak, uważam, że śmierć jest u nas nadal tematem tabu i może nawet bardziej niż w przeszłości. Oczywiście codziennie media zasypują nas informacjami dotyczącymi katastrof, wspominasz polską martyrologię, ale to śmierci nam odległe, czasem wręcz wirtualne. A mi chodzi o tę śmierć w promieniu kilku kilometrów, czasem metrów. O śmierć z ludzką twarzą, najbardziej bliską, pojmovaną indywidualnie, gdy tracimy kogoś bliskiego, gdy mamy odejść albo towarzyszyć komuś, kto odchodzi. Nierzadko nie wiemy wtedy jak się zachować, jak przy kimś trwać, jak poradzić sobie z licznymi trudnymi emocjami. Wolimy wypierać albo udawać, że nie zauważamy, zamiatć pod dywan. Tak jak wspominałam – to są bardzo trudne sytuacje, a jednocześnie bardzo wpisane w naszą egzystencję tutaj; pewnym jest, że kiedyś się pojawią. Moje osobiste doświadczenia dały mi przeko-

nanie, że można się pożegnać dobrze i to może dać nam siłę w dalszym życiu. To była jedna z głównych myśli przewodnich, gdy zaczynałam pracę nad „Tarniną.” Z drugiej strony z pełną pokorą zaczynam twierdzić, że może nie zawsze jest to możliwe. I to też jest ok. Jest taki wiersz Herberta pt. „Brewiarz”, pisany akurat z perspektywy osoby odchodzącej, gdzie podmiot mówi:

życie moje

powinno zatoczyć koło

zamknąć się jak dobrze skomponowana sonata

a potem przedstawia argumenty, że tak już się nie stanie. Że odejście w pewnym niedokończeniu, wśród porwanych akordów, dysonansach i jazgotach. W tym też pewnie jest sporo prawdy. Co nie znaczy, że i tej drodze życia, widzianej z różnych perspektyw, nie warto poświęcić sił, starań, energii. I „Tarnina” była taką próbą – by tę śmierć trochę z szafy wyjąć.

Jak wyglądał COVID, ale na I linii frontu? Jak bardzo różniła się praca lekarza zakaźnika podczas epidemii od pracy przed pandemią? Czy ta pandemia może być porównywana do historycz-

nych zaraz, które dotykały nas w przeszłości?

To trudny temat i który na tyle mnie poturbował, że póki co, rzadko do niego wracam. Wpierw był ogromny stres, wysiłek zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Poświęcenie się pracy, strach, że mogę kogoś zakazić. Obawy o bliskich, mniej o siebie. Emocje i stany, które przychodzą mi na myśl, gdy wracam do tamtego czasu to: strach, smutek, bezradność, wyczerpanie. Żal, rozczarowanie, rozgoryczenie, złość. O każdym mogłabym niejedno powiedzieć, ale chyba jeszcze nie chcę. Cieszę się, że to minęło i znów możemy się spotykać.

Jesteś lekarzem medycyny podróży – czy to znaczy, że należy Cię odwiedzić przed

wyjazdem w egzotyczne kraje czy po powrocie ☺?

Z założenia poradnie medycyny podróży należy odwiedzać przed wyjazdem, najlepiej 2-3 miesiące wcześniej, by mieć czas odpowiednio się przygotować, zdążyć przyjąć zalecane szczepienia itd. Obecnie pracuję w poradniach hepatologicznych i chorób zakaźnych, ale jak sił i czasu starczy, postaram się i taką poradnię na Pogórze Sudeckim uruchomić. Ale to jeszcze chwila ☺

W jednym z wywiadów czy podczas spotkania mówiłaś o stażu w Afryce – w jakim kraju go odbyłaś? Jak bardzo różni się leczenie pacjentów w Afryce i upraszczając w Europie? Kiedyś kursujące między Wrocławiem, a Krakowem spotkałam grupę studentów medycyny ze Szwecji, którzy studiowali / mieli praktyki u nas w kraju. Na pytanie dlaczego Polska, z humorem odpowiedziała, że jak w Szwecji zgaśnie światło, to lekarz nic nie robi – a my (Polacy) ciągle potrafimy coś zaradzić - czy jest podobna analogia z Afryką?

Miałam szansę odbyć staże w Tanzanii i Ghanie. Piękne miejsca, szczególnie dobrze wspominam Ghanę i ludzi tam mieszkających. Radosnych, uśmiechniętych, pełnych dobrej i życzliwej energii, choć wg europejskich standardów moglibyśmy powiedzieć, że mają oni bardzo mało. Nieco więcej niż to, co na sobie. I niejednego moglibyśmy się od nich uczyć. Zaczynając od prostych radości z tego, co się ma.

A jak bardzo różni się leczenie? To też temat na dłuższe spotkanie albo wykład. Na pewno dostęp do diagnostyki i leczenia w Europie jest nieporównywalnie większy; to co dla nas jest standardem tam zwykle nie; co w dużej mierze spowodowane jest sytuacją ekonomiczną, choć tych czynników wpływających na dostępność leczenia jest znacznie więcej. Proste ubezpieczenia obywateli umożliwiają co najwyżej położyć się w szpitalu, posiłki i pościel trzeba mieć już własną, za każdą procedurę, lek czy nawet zestaw do kroplówki musi zapłacić już pacjent lub rodzina. W porównaniu do średnich dochodów diagnostyka i leczenie są bardzo drogie. Np. cena wykonania tomografii głowy to jak dwie pensje, co zwykle jest ograniczeniem w przeprowadzeniu właściwej diagnostyki. Ale są też narodowe programy leko-

we, które działają bardzo dobrze, są za darmo i ratują wiele osób. Tak jest z pacjentami zakażonymi HIV albo z gruźlicą. Bardzo dobrze jest też leczona malaria, a dostęp do leków jest łatwy. Natomiast, gdy masz owrzodzenie kończyny zostaje ci ją przemycić ociem albo skorzystać z ziół. Na ziołach i medycynie naturalnej tubylcy znają się bardzo dobrze.

W Twojej książce jest dużo magii – mnóstwo natury, prawdziwe zielarskie, epickie opisy i Mietlica, która jest jedną z najbardziej wyrazistych postaci. Czy spotkałaś na Pogórzu jakąś wiedźmę, która stała się inspiracją dla tej postaci?

Oj, myślę, że niejedną ☺ Ale tak, mam w otoczeniu kilka osób, które stały się inspiracjami przy budowaniu literackich postaci.



Tak jak ci wcześniej powiedziałam – wcześniej pokochałam Pogórze Kaczawskie, poznałam trochę lokalny koloryt a dopiero potem zaczęłam pisać. Także miałam już trochę barwnego materiału.

Kiedy kolejna powieść i czy jest szansa, że także wydarzy się na Pogórzu Kaczawskim? Czy może kontynuacja „Tarniny”?

Póki co muszę jeszcze odpocząć po „Tarninie.” To były co najmniej trzy lata intensywnej pracy. Ale myślę, że w tym roku zaczęnę gromadzić materiały i pomysły do kolejnej powieści. Mam już pewne przeświły, ale to jeszcze za mało. I pozwolę sobie na tym etapie jeszcze nic nie zdradzać.

No i na koniec „Miasteczko” z Twojej powieści to Złotoryja, Świerzawa, Lwówek Śląski czy może Wleń?

To utkane z tych co znam, też z tych, które wymieniłaś. Ale literatura ma to do siebie, że daje możliwość uniknięcia dostawności i przez to powiedzenia znacznie więcej. I niech tak zostanie.

Rozmawiała: Katarzyna Iwińska

Polski akcent w Nowym Jorku



W grudniu 2022 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego ukazała się książka pt. „Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane”. Autorkami są złotoryjanki: dr hab. Danuta Piątkowska, od wielu lat mieszkająca w Nowym Jorku i zajmująca się historią tamtejszej Polonii oraz prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, pracownica Uniwersytetu Opolskiego.

Dom rodzinny autorek publikacji mieści się w Złotorzy przy ul. Dolnej 5, gdzie obecnie mieszka ich brat Jerzy Piątkowski z żoną Urszulą i synem Danielem. Ich ojciec, Józef Piątkowski, pochodził spod Krakowa. Podczas okupacji niemieckiej został wywieziony na roboty przymusowe do III Rzeszy, a gdy po zakończeniu II wojny światowej, wracając w rodzinne strony, zahaczył o Złotorję, to już tu został.

Danuta Piątkowska tak mówi o sobie: – Od 27 lat mieszkam w Nowym Jorku i zajmuję się historią Polonii. Przyjechałam na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej pierwszy raz w 1986 roku, a

staryczną, to jednak zawartość publikacji zadziwia ogromem faktów, opisami prawdziwych dziejów konkretnych ludzi i szerokim spektrum poszukiwań. Została wykonana ogromna kwerenda w archiwach i muzeach Ameryki i Europy, przeprowadzono wiele rozmów i odwiedzono mnóstwo miejsc związanych z omawianym w książce tematem.

Historia życia wielu tysięcy młodych żołnierzy skończyła się na mogiłach cmentarnych, dlatego przybliżenie ludzkiego wątku tego gigantycznego konfliktu zbrojnego było głównym celem „Polskiego akcentu...”. Jednym z wielu źródeł informacji były dla autorek karty pogrzebowe żołnierzy. Książka ujawnia, gdzie mieszkali, gdzie pracowali, kogo wspierali swoimi zarobkami, z jakich rodzin pochodzili, w jakich kościołach się modlili. Znany jest ich wiek, ranga wojskowa, jednostka wojskowa oraz w którym momencie skończył się ich amerykański sen.

Podczas pracy nad książką zdarzyła się pewna sytuacja, która zupełnie zaskoczyła autorki. Tak w jednym z wywiadów opowiada o tym Danuta Piątkowska:

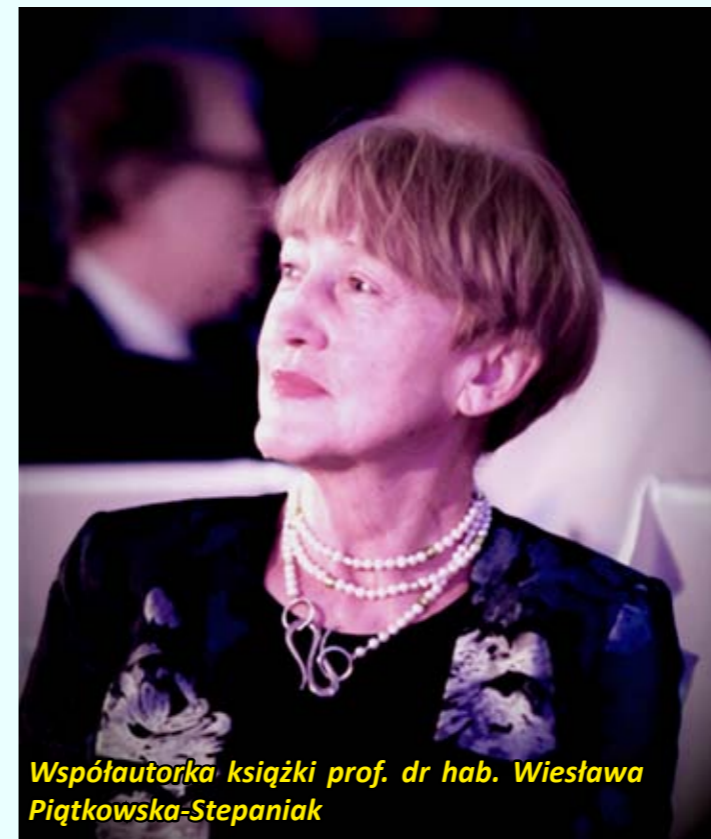
– Pewnego dnia otrzymałam maila od dr Barbary Lei, którą prosiłam o fotografię grobu Józefa Cwenka w Grabowcu koło Lublina. Znam Basię od wielu lat, mieszka niedaleko, więc ośmieliłam się prosić ją o pomoc. W tym mailu jednak było nie tylko zdjęcie grobu, ale także skrzyni, w której ciało zostało sprowadzone do Grabowca na życzenie żony Józefa, Anny Cwenk. Skrzynia ta do dzisiaj jest przechowywana w rodzinie, jak również zdjęcia z pogrzebu Józefa Cwenka z października 1930 roku, zdjęcie jego portretu, wiszącego w domu prawnuka oraz fotografia gazety „Przegląd Tygodniowy” z 20 listopada 1929 roku, wydawanej w Niagara Falls Nowy Jork, gdzie na pierwszej stronie jest wzmiankowany Józef Cwenk i inni polegli polscy żołnierze. Zdjęcie skrzyni jest oczywiście w książce, jak również kilka innych, nie tylko z pogrzebu, ale też z dostarczenia trumny do Grabowca, dokąd dotarła z Gdyni na ciężarówce pod eskortą wojskową amerykańskiego żołnierza Franka Pispishilla. To była rewelacja.

Podczas pracy nad książką autorki przeanalizowały ponad 77 tysięcy kart poległych żołnierzy, które zawierały mnóstwo informacji.

– „Nasi” żołnierze, idąc do wojska, kierowali się różnymi pobudkami. Walczyli

„za wolność naszą i waszą”, za wolność starej ojczyzny i z obowiązku wobec nowej ojczyzny. Na ich motywację wpłynęły bez wątpienia perspektywa awansu społecznego, indywidualne ambicje, odwaga, chęć szybkiego zdobycia amerykańskiego obywatelstwa. Z dumą fotografowali się w amerykańskich mundurach i w książce czytelnik znajdzie takie zdjęcia – mówi Danuta Piątkowska w jednym z wywiadów.

– Żołnierze z polskimi nazwiskami mieli



Współautorka książki prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak

z reguły niższe stopnie wojskowe: szeregowy lub starszy szeregowy, czasem kapral bądź sierżant, rzadko wyższe. Byli także kucharzami, trębaczami, woźnicami. Wynikało to z różnych przyczyn, takich jak brak dobrej znajomości języka angielskiego, w ogóle brak umiejętności pisania i czytania, brak obywatelstwa amerykańskiego, chociaż dodajmy, że obywatelstwo można było uzyskać w armii bardzo szybko, jeśli ktoś zadeklarował chęć jego posiadania, dalej – brak umiejętności kierowniczych i innych.

Książka jest starannie wydana, ma twardą okładkę, piękny papier i ciekawy format, liczy 418 stron. Zawiera mnóstwo archiwalnych materiałów, 262 zdjęcia i posiada wysmakowaną szatę graficzną. Okładka prezentuje zdjęcie pomnika Żołnierzy 107. Pułku Piechoty Nowego Jorku, usytuowanego na Manhattanie. Autorem fotografii

jest znany nowojorski fotograf Wojtek Kubik, autor wielu wspaniałych zdjęć w tej książce. Publikacja jest do kupienia w Wydawnictwie Uniwersytetu Opolskiego: wydawnictwo@uni.opole.pl lub pod tel. 77 401 67 46.

W USA w ostatni weekend maja obchodzi się tzw. Memorial Day (Dzień Pamięci). Oddaje się wówczas szczególny hołd poległym amerykańskim żołnierzom. Ten dzień jest wolny od pracy i ma rangę święta państwowego. W całych Stanach Zjednoczonych odbywają się wtedy uroczyste ceremonie w otwartych przestrzeniach publicznych, w miejscach pamięci, w kościołach i na cmentarzach, organizowane są uroczyste parady, w których biorą udział służby mundurowe, lokalni politycy, orkiestry uliczne, skauci, organizacje kulturalne itp.

– Uważam, że nasza książka „Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane” znakomicie wpisuje się czasowo w te uroczystości, które niosą bardzo duży ładunek emocjonalny – mówi dr hab. Danuta Piątkowska.

Źródła: „Przywrócić pamięć” bialyorzal24.com/przywrocic-pamiec/ „Tę książką składamy hołd poległym żołnierzom Wielkiej Wojny” dziennik.com/ta-ksiazka-skladamy-hold-poległym-żołnierzom-wielkiej-wojny

Zdjęcie tytułowe: dr hab. Danuta Piątkowska z książką „Polski akcent w American Expeditionary Forces. Historie prawdziwe, fascynujące i prawie zapomniane” na tle Nowego Jorku. Fot. o. Michał Czyżewski

Agnieszka Młynczak

Kronika

18.03 na strzelnicy „Złote Wzgórze” w Złotorzy odbyły się Zawody Strzeleckie o Nagrodę Agatu.

30.03 podczas sesji Rady Miejskiej w Złotorzy prof. dr hab. Andrzej Grodzicki otrzymał oficjalnie tytuł honorowego obywatela naszego miasta.

1.04 w kościele NNMP odbył się koncert wielkopostny „W Ogródcu”.

3.04 dzieci z Przedszkola Miejskiego nr 2 w Złotorzy wzięły udział w ogólnopolskim wydarzeniu „Niebieskie Igrzyska”, które są częścią obchodów Światowego Dnia Świadomości Autyzmu oraz Światowego Miesiąca Wiedzy na Temat Autyzmu.

4.04 w Liceum Ogólnokształcącym w Złotorzy zorganizowano „Dzień Otwarty” dla absolwentów szkół podstawowych z terenu powiatu złotoryjskiego.

4.04 w Zespole Szkół Zawodowych im. mjr. Henryka Sucharskiego w Złotorzy zorganizowano „Dzień Otwarty” dla absolwentów szkół podstawowych z terenu powiatu złotoryjskiego.

5.04 w Klubie Senior + w Złotorzy odbyło się spotkanie wielkanocne.

6.04 uczestnicy Środowiskowego Domu Samopomocy w Złotorzy zorganizowali śniadanie wielkanocne.

15 – 21.04 Miejska Biblioteka Publiczna w Złotorzy zorganizowała powiatowy konkurs plastyczny dla klas IV i V szkół podstawowych „Przedmioty codziennego użytku. Wersja 2.0”

16.04 w Złotorzyjskim Ośrodku Kultury odbył się „Złotorja Dance Arts Festiwal” zorganizowany przez „Street Dance Academy” i Fundacja Rozwoju Człowieka „Trood”.

18.04 w Szkole Podstawowej im. Jadwigi Śląskiej w Sokolowcu odbyły się eliminacje powiatowego Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy Pożarniczej pod hasłem „Młodzież zapobiega pożarom”.

21.04 dzieci z Przedszkola Miejskiego nr 2 w Złotorzy wzięły udział w piątej edycji akcji „Sprzątam dla Polski”.

22.04 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się kwietniowe spotkanie Klubu Gier Planszowych.

23.04 w Hali Sportowej Tęcza w Złotorzy odbyła się pierwsza edycja Wiosennego Turnieju Tenisa Stołowego Amatorów „Mine Master Tęcza Cup”.

20.04 w Złotorzyjskim Ośrodku Kultury odbył się koncert najpiękniejszych piosenek z popularnych bajek „Bajki świata” w wykonaniu uczniów klasy wokalne Aleksandry Sobol z ZOK.

22.04 Sudecka Zagroda Edukacyjna w Dobkowie zorganizowała akcję sprzątania rzek i potoków w Geoparku Kraina Wygasłych Wulkanów.

24.04 w Złotorzyjskim Ośrodku Kultury zorganizowano spotkanie Złotorzyjskiego Festiwalowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego, podczas którego zaprezentowano 3 miniatury filmowe.

26.04 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyła się akcja wymiany książek „Wielka Giełda Bookcrossingowa”.

29 - 30.04 w Zamku Grodziec odbyło się „Święto kwitnącej Przylaszczki i Zawilca”.

Opracował Jarosław Jańta

List do redakcji



GoArt
Powered by GoArt

Szanowna Pani Redaktor,
Dzisiaj znalazłam i z wielkim wzruszeniem przeczytałam artykuł o miejscowości Kwiatów zamieszczony w internetowym archiwum miesięcznika "Echo Złotoryi" z grudnia 2009. Niezwykle cenny to przyczynek do historii Dolnego Śląska, a dla mnie nieoceniony skarb za który ogromnie dziękuję wydawnictwu, w szczególności redaktorom artykułu Pani Marii Tymczyszyn, Pani Klaudivii Tymczyszyn, Pani Julii Szczutek i Panu Alfredowi Michler.
Jestem córką Mariusza Goltza, pierwszego Dyrektora Zespołu Gospodarstw w Kwiatowie. Mieszkałam z rodzicami Stefanią i Mariuszem Goltz w Pałacu w Kwiatowie. Ojciec zarządzał Zespołem Gospodarstw z siedzibą w Kwiatowie od 1948 roku aż do śmierci w marcu 1953 roku.

Dzisiaj piszę do Państwa z ogromną prośbą. Poszukuję informacji która pomogłaby ustalić w jakiej miejscowości faktycznie urodziła się moja młodsza siostra Ewa Goltz.

Ewa urodziła się w dwa miesiące po śmierci ojca, 28 maja 1953 roku. Data urodzenia Ewy jest poprawna. Jednakże oficjalne miejsce urodzenia - Warszawa - nie jest zgodne z prawdą. Rodzinny przekaz potwierdza to co i ja sama pamiętam (miałam siedem lat w 1953 roku), że Ewa urodziła się w jednym z okolicznych szpitali, w Złotoryi, w Chojnowie lub w Legnicy. Niestety nikt w rodzinie już dzisiaj nie pamięta, który to był szpital. Napisałam listy

z prośbą o informacje do wszystkich trzech szpitali. Rozumiem, że dokumentacja z tamtych lat mogła już zostać przekazana do archiwum innego urzędu. Czekam na odpowiedzi.

Do Państwa piszę w nadziei, że może ktoś w Redakcji Echa, a w szczególności Redaktorów artykułu o Kwiatowie, będzie wiedział, gdzie mogłabym znaleźć dane o narodzinach dzieci w okolicy Kwiatowa w 1953 roku. A może cudem jakimś znają Państwo kogoś, kto mieszkał wówczas w Kwiatowie i mógłby pamiętać albo mnie (siedmioletkę, która jeździła po folwarku na dużym męskim rowerze, pod ramą oczywiście) albo też pamięta naszą rodzinę i okoliczności narodzin mojej siostry Ewy.

Utrudnieniem w moich poszukiwaniach jest fakt że, już prawie od pięćdziesięciu lat, mieszkam w Australii. Muszę więc w tym momencie w pełni polegać na komunikacji internetowej. Bardzo będę wdzięczna za każdą informację, kontakt czy adres, który mógłby naprowadzić mnie na drogę do rozwiązania zagadki – gdzie urodziła się moja siostra Ewa. Za kilka tygodni będą Ewy 70. urodziny i wiem, że taki prezent byłby dla niej bezcenny.
Serdecznie pozdrawiam z jesiennego Melbourne,

Irena Goltz

Najcięższe kwiaty świata



19 kwietnia obchodziliśmy 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim. Uczniowie złotoryjskiego liceum włączyli się w akcję rozdawania żonkili - symbolu pamięci, który jest utożsamiany z powstaniem. Jak akcja została przyjęta przez złotoryjan? Jakie były reakcje przechodniów?

"Czy to kwiat? A może kamień?" – ta fraza z wiersza Szymborskiej idealnie oddaje moje odczucia względem tego, co działo się w rocznicę wybuchu powstania na ulicach naszego miasta. Dlaczego?

Po kolei. Na lekcjach plastyki wykonaliśmy z żółtego papieru lekkie przypinki przypominające żonkile. Właśnie takie żółte kwiaty: kaczeńce lub żonkile każdego 19 kwietnia (poza rokiem 1968) dostawał Marek Edelman – przywódca powstania. Te nasze papierowe kwiatki to nasz gest pamięci. Gest, który chcieliśmy też przekazać innym i sprowokować do chwili refleksji nad przeszłością.

Jak złotoryjanie zmierzli się z ciężarem żółtych kwiatów? Reakcje były rozmaite. Nie wszyscy rozumieją, że w powstaniu ginęli polscy Żydzi, bo usłyszeliśmy, że powinniśmy składać hołd Polakom, a nie Żydom. Na szczęście takich głosów było naprawdę niewiele.



Częściej słyszeliśmy pytanie: „czy za te kwiaty trzeba zapłacić?” Kiedy mówiliśmy, że nie, widzieliśmy zaskoczenie i najczęściej złotoryjanie wtedy przyjmowali od nas żonkile i krótką historię powodu ich wręczania. Wielu przechodniów w ogóle nie miała czasu ani ochoty, by z nami porozmawiać i ignorując nas, biegła za swoimi sprawami. Faktem, który może napawać optymizmem, jest to, że naprawdę spora grupa ludzi wykazała się znajomością tragedii getta i często dało się usłyszeć między wierszami nazwisko przywódcy powstania - Marka Edelmana. Sama akcja zaś ostatecznie została zakończona powodzeniem, gdyż uczniowie spisali się na medal – długo nie zapomną, z czym wiąże się data 19 kwietnia i czego symbolem jest żonkil, a i z pewnością mieszkańcy skorzystali na tym, bo mieli okazję odświeżyć wiedzę historyczną.

Czy takie akcje mają sens? Jak najbardziej. Czy sam kwiat coś znaczy? Znaczący tyle, ile sensu sami mu nadamy, bo bez tego będzie tylko zwykłym kwiatkiem, który kiedyś, jak wszystkie, zwiędnie. Oby nasza pamięć była trwalsza.

Jakub Rębisz
LO Złotoryja



Helena Sobota

16 lutego 2023r. pożegnaliśmy wieloletnią bibliotekarkę Filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Brochocinie.

Świętej Pamięci Helena Sobota była mieszkanką Brochocina od urodzenia. Po ukończeniu szkoły średniej pracowała jako laborantka a następnie podjęła zatrudnienie w Gminnej Bibliotece Publicznej w Zagrodnic Filii w Brochocinie, w której przepracowała 32 lata. Praca bibliotekarki dawała jej wiele radości, gdyż kochała dzieci, umiała z nimi rozmawiać i je zrozumieć. Zawsze dbała o kolorowy wystrój biblioteki oraz miłą atmosferę dzięki czemu czytelnicy – szczególnie ci mniejsi - odwiedzali placówkę bardzo chętnie. Udzielała się społecznie – brała udział w dożynkach wiejskich, pomagała wszystkim kto o to poprosił.

Córka Ania w takich słowach wspomina mamę.

„Gdzie się pojawiła tam niosła uśmiech i nadzieję. Budziła życie każdej wiosny, bo grządki na wsi jej zdaniem są obowiązkowe a to co ziemia wydała nie mogło się zmarnować. Była osobą bardzo pracowitą, wierzącą, serdeczną.”

Pani Helenka dla każdego zawsze miała dobre słowo, służyła radą i gdzie tylko mogła niosła pomoc.

Choć życie ją mocno doświadczyło nigdy się nie skarżyła. Pani Helenka na zawsze pozostanie w pamięci i sercach współpracowników i czytelników jako niezwykle ciepła, życzliwa i zawsze uśmiechnięta osoba.

W imieniu pracowników Gminnej Biblioteki Publicznej w Zagrodnic składamy Mężowi, Córkom, Synowi i całej Rodzinie serdeczne wyrazy współczucia.



O tym, co już wiemy

Źródła do historii górnictwa miedzi w Leszczynie

Cz. I kartografia

Przyjmuje się, że na silny rozwój osadnictwa w dorzeczu Kaczawy i Bobru we wczesnym średniowieczu wpływ miały występujące tu bogactwa naturalne, przede wszystkim złoża złota, miedzi i rud polimetalicznych. Dzięki podjętym przez Józefa Kaźmierczyka w 1973 r. badaniom średniowiecznego górnictwa złota¹, a kontynuowanym później przez Stanisława Firsztę², w sąsiedztwie Kopacza udało się rozpoznać urządzenia związane z wyłukiwaniem piasków i żwirów złotoosnych. Datowano je na XIII w. Wcześniejszą, być może o całe stulecie, chronologię tych prac poświadczają może skarby monet odkryte w centrum pól złotoosnych na Kopacu w 2006 r. Ukryto go tam w końcu XI (1097?) bądź początku XII w. (1102?). Wśród niemal 600 monet dominowały egzemplarze wybite przez Bolesława III Krzywoustego w latach 1097-1107, naj-

prawdopodobniej w mennicy legnickiej oraz wrocławskiej.

Być może w tym samym czasie rozpoczęto eksploatację złóż miedzi w rejonie Leszczyny i choć sama miejscowość powstała najprawdopodobniej znacznie później – pierwsza wiadomość na jej temat pochodzi z roku 1389 – prace górnicze i wydobywcze występujących tu surowców – nie tylko miedzi, ale również wapieni, piaskowców prowadzono znacznie wcześniej. Jakie świadectwa pozostały z tego czasu? Według przekazów – przez długi czas wydawałby się na poły legendarnych – z tym okresem związany był najwyższy poziom wyrobisk w rejonie Leszczyny: sztolnia „Charakter” oraz położone powyżej niej liczne zapadliska szybów (1). Tutejsi górnicy mieli walczyć w 1241 r. w bitwie pod Legnicą³.

Do momentu podjęcia badań wykopaliskowych, o tym w napiszę jednak w kolejnych tekstach, kwestie te pozostawiały jednak w sferze domysłów i spekulacji.

cji. Zapadliska szybów i sztolnie datowano na okres od średniowiecza po XIX w., kiedy pokład był ze zmiennym szczęściem eksploatowany. Doskonale opisują je zachowane w archiwach i publikacjach mapy i plany. Najstarsza z nich pochodzi z 1625 r. Oznaczono na niej kopalnie księcia legnickiego Henryka XI (niem. *Alte Gruben Herzog Heinrich Kupfer Zeche*; ryc. 1). Kolejne, znacznie już dokładniejsze plany pochodzą z XVIII w. W latach 1774-1777 wykonano pierwsze prace górnicze, powstały też plany, na których oznaczono najważniejsze wyrobiska – sztolnię Charakter (ryc. 2), sztolnię Leszczyńską (ryc. 3) oraz wyrobiska znajdujące się na lewym brzegu Prusickiego Potoku – sztolnie Prusicka i Wilkowską wraz ze znajdującymi się tam urządzeniami związanymi z obróbką wydobywanej rudy (ryc. 4).

Najciekawszy dla poznania struktury wyrobisk w Leszczynie jest plan wyrobisk kopalni „Ciche Szczęście” (niem. *Stilles Glück*), działającej w latach 1865-1882. Z eksploatowanego margla miedzianego uzyskano wówczas 1 100 ton kamienia miedzianego i 3 437 kg srebra – każdej tonie margla było przeciętnie 13 kg miedzi i 40 g srebra. Działającą tu hutę zamknięto w 1883 r. Kolejny rozdział prac górniczych rozpoczął się w latach 30. XX w.

Opis rycin:

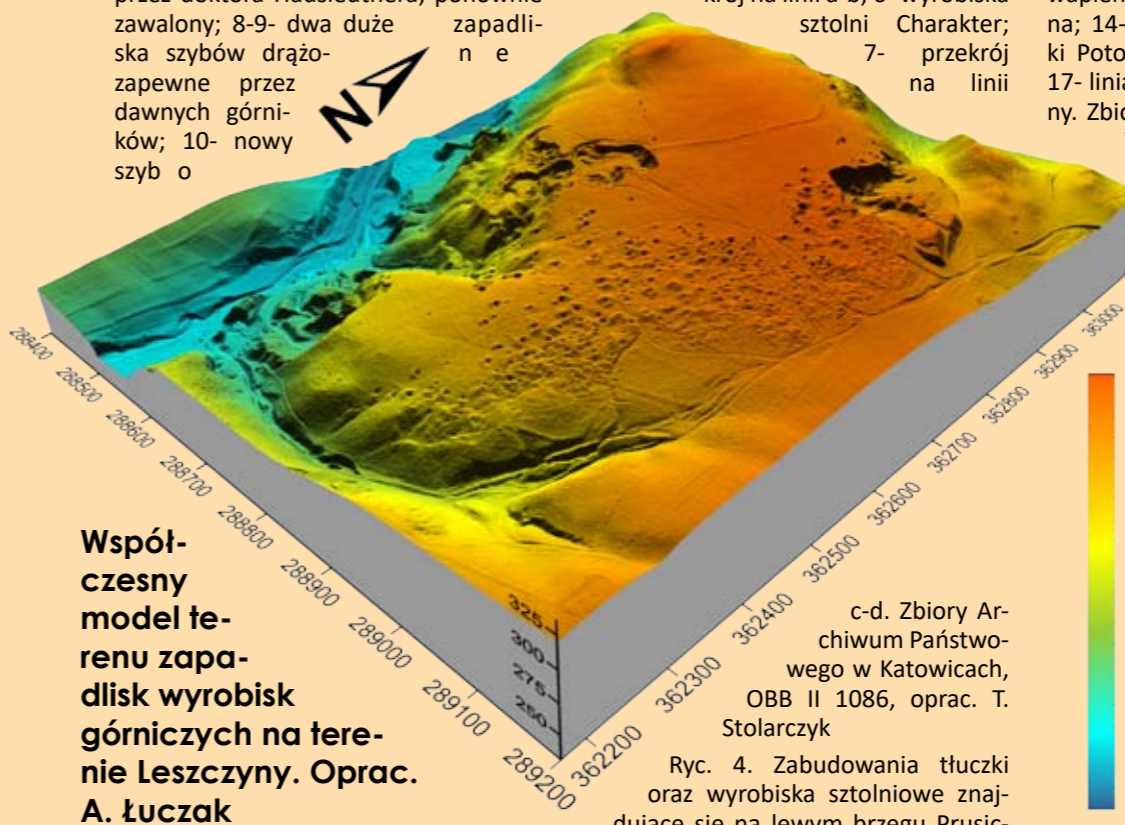
Ryc. 1. Przerys mapy z 1625 r. z oznaczeniem relikwów dawnego górnictwa w rejonie Złotoryi. Objaśnienia: 1- Złotoryja; 2- Kopacz; pozostałości dawnego górnictwa złota; 3- Prusice; 4- *Alte Gruben Herzog Heinrich Kupfer Zeche* („dawnie kopalnie miedzi księcia Henryka XI”), 5- Wilków. Zbiory Archiwum Państwowego w Katowicach, OBB II 1153, oprac. T.

Stolarczyk

Ryc. 2. Plan wyrobisk górniczych w sąsiedztwie sztolni Charakter z 1774 r. Objaśnienia: 1- droga z Leszczyny do Prusic; 2- głęboko wcięta dolina określona mianem *Kalkgraben*; 3- stara hałda materiału z nalotami malachitu; 4- sztolnia Charakter, założona wysoko w górze, zupełnie zawalona; 5- szyb Charakter, połączony ze sztolnią, zupełnie zawalony; dawni górnicy prowadzili tu eksploatację zielonych (malachitowych) łupków; 6- nowo założona sztolnia o długości 3 m, która przedłużona zostanie do szybu oznaczonego literą L; osiągnął on głębokość 22 m; 7- szyb drążony w 1773 roku przez doktora Hausleutnera, ponownie zawalony; 8-9- dwa duże zapadliska szybów drążonych zapewne przez dawnych górników; 10- nowy szyb o

którego materiał wykorzystywany jest do celów budowlanych, płyt, a także ośełek; 12- nowy szurf poszukiwawczy. Zbiory Archiwum Państwowego w Katowicach, OBB II 1085, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 3. Mapa pozostałości górniczych w Leszczynie, prezentująca wyrobiska sztolni Charakter i sztolni *Haseler* (sztolnia Leszczyńska) wraz z nowo drążonym obiektem, którego wlot znajdował się w wąwozie na południe od obu sztolni. Objaśnienia: 1- wapiennik i zabudowania związane z piecem; 2- sztolnia Leszczyńska; 3- wlot sztolni Charakter; 4- wylot wyrobiska w wąwozie (*Kalkgraben*); 5- wlot sztolni Leszczyńskiej i przekrój na linii a-b; 6- wyrobiska sztolni Charakter; 7- przekrój na linii



Współczesny model terenu zapadlisk wyrobisk górniczych na terenie Leszczyny. Oprac. A. Łuczak

głębokości 16 m, na spągu którego natrafiono na pozostałości starych robót górniczych, na górnym ociosie wyrobiska wystąpiło złożo łupka miedzianego; 11- kamieniołom piaskowca, z

skiej. Zbiory Archiwum Państwowego w Katowicach, OBB II 1157, oprac. T. Stolarczyk

Ryc. 5. Mapa wyrobisk kopalni Ciche Szczęście w Leszczynie wraz z ich przekrojem według przerysu z 1931 roku. Objaśnienia: 1- poziom górny wyrobisk; 2- poziom sztolni Charakter; 3- poziom środkowy wyrobisk; 4- poziom dolny wyrobisk; 5- rozkop Henryk (*Heinrich*) wraz z hałdą; 6- wlot sztolni; 7- wylot rozkopu; 8- stara sztolnia (sztolnia Leszczyńska); 9- nowy rozkop; 10- sztolnia Charakter wraz z hałdą; 11- kamieniołom wapienia, punkt założenia kopalni Ciche Szczęście; 12- bliźniacze piece wapiennicze; 13- miejsce wypału wapna; 14- zabudowania huty; 15- Prusicki Potok; 16- droga Leszczyna-Prusice; 17- linia przekroju; 18- szyb wentylacyjny. Zbiory Archiwum Państwowego we Wrocławiu, Oddział w Legnicy, Akta KGHM ZG „Lena”, sygn. 8, s. 109, oprac. T. Stolarczyk

6 Chodnik rozpoznanego w latach 2014-2015 odcinka kopalni Ciche Szczęście. Fot. S. Kostka

1. Kaźmierczyk J., *Sprawozdanie z badań nad górnictwem złota koło Złotoryi w 1973 roku*, Śląskie Sprawozdania Archeologiczne (dalej ŚSA), t. 16, 1974, s. 72-79; Kaźmierczyk J., Grodzicki A., *Górnictwo złota koło Złotoryi na Dolnym Śląsku w XI-XIV wieku w świetle badań archeologicznych i geologicznych*, [w:] *Studia Archeologiczne*, t. 7, Wrocław 1976, s. 205-247.

2. Firszt S., *Relikty średniowiecznego górnictwa złota w rejonie Złotoryi*, woj. Legnickie, ŚSA, t. 39, 1997, s. 473-476.

3. Dziekoński T., 1972, *op. cit.*, s. 274.

Tomasz Stolarczyk



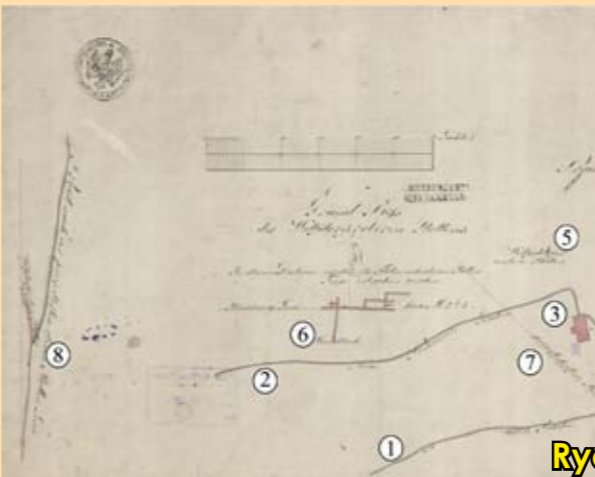
Rycina nr 1



Rycina nr 2



Rycina nr 3



Rycina nr 4



Rycina nr 5



Stolica Starego Zagłębia Miedziowego Stolica Starego Zagłębia Miedziowego

Kolebka śląskiej miedzi (cz. II)

W bieżącym numerze kontynuujemy przedstawianie pracy powstałej na zamówienie Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych, stworzonej przez zaprzyjaźnionych z nim naukowców Państwa Eufrozyne i Zygryda Piątków, dotyczącej początków górnictwa miedzi na ziemi złotoryjskiej.

Kopalnia „Lena” w latach 1947-1974.

W momencie przejęcia byłego przedsiębiorstwa BUHAG przez administrację polską zakład górniczy był nieczynny, podziemne wyrobiska kopalni były zatopione, a urządzenia powierzchniowe, w tym zakładu wzbogacania rudy, były zdewastowane. W 1947 roku przystąpiono do odwodnienia kopalni, która otrzymała nazwę „LENA”. Odwodnienie wyrobiska zostały wyposażone w przewidywane urządzenia umożliwiające dalsze prace. Równolegle montowano maszyny w zakładzie przeróbki mechanicznej, w skład którego wchodził oddział klasyfikacji, hydrosseparatorów, flotacji z zgęszczaczami i suszarni koncentratów.

W 1950 roku kopalnia była ostatecznie odwodniona i przygotowana do

podjęcia produkcji. Koszty inwestycyjne wyniosły 73 455 tys. zł ówczesnej wartości. Szacowano, że zasoby prawdopodobnie sięgają 560.000 ton miedzi, zasoby pewne wynosiły 360.000 ton miedzi. Docelowe wydobycie dobowe miało wynosić 2.400 ton rudy. W zakresie transportu pionowego w pierwszej kolejności przygotowano do ruchu tak zwany zachodni wyciąg szybowy z bębnową maszyną wyciągową wyprodukowaną w Iłku. W i średnicy bębna 5 m, przeniesionej z kopalni Grodziec. W późniejszym okresie maszynę przebudowano na typ tarcza Koepe.

W 1953 roku uruchomiono wschodnie urzą-

dzenie wyciągowe z bębnową maszyną wyciągową o średnicy bębna 4 m i mocy 2x200 kW typu Huta Zgoda. Średnice lin wyciągowych wynosiły 28 mm. Wozy kopalniane z urobkiem były wyciągane na powierzchnię w klatkach szybowych. W 1950 roku kopalnię przyłączono do sieci PKP boczną ze stacji Jerzmanice Zdrój.

Jesienią 1950 roku przystąpiono do wydobywania rudy, pierwsze ściany wybierkowe ruszyły we wrześniu 1950 roku. W latach 1955-1964 zmodernizowano maszyny wyciągowe, rozbudowano zakład przeróbki mechanicznej rud, a w zakładzie górniczym przygotowano nowy poziom wydobywczy 72 m, zmechanizowano transport dołowy oraz odwadnianie. Przyptyw wody do kopalni sięgał 6 m/min. Odwadnianie główne kopalni z poziomu +83 m na powierzchnię odbywało się rurociągiem zabudowanym w szybie, w komorze pomp pracowały pompy odśrodkowe elektryczne o mocy 140 kW i wydajności 3 m/min. Od 1961 roku wskutek powstałych szkód górniczych w postaci szczelin w dnie Prusickiego Potoku, zanotowano wzmożony o 6 m/min dopływ wody do

kopalni, w okresie obfitych opadów nawet o 20 m/min. Udostępnione w poprzednich latach złoża do 1970 roku zostało wyczerpane. W celu eksploatacji głębszej partii, wykonano z chodnika podstawowego upadowe i prowadzono tak zwane wybieranie podpoziomowe. W 1973 roku kopalnia „Lena” została zamknięta, gdyż było to związane z uruchomieniem wydobycia łupków miedziożelaznych w zagłębiu legnicko-głogowskim.

Wybieranie złożeń

Po dawnym górnictwie miedzi w rejonie niecki leszczyńskiej zachowały się w terenie materialne ślady działalności górniczej i hutniczej, które wskazują na znaczny rozmach robót górniczych, prowadzonych w rejonie Leszczyzny, Wilkowa i Prusic. Jednakże wiele dawnych śladów górnictwa jak wyloty sztolni i szybów uległo zatarciu w wyniku gospodarczego użytkowania tych terenów. Na zachodnim stoku oraz w pobliżu szczytu masywu Widawy w Leszczyźnie warstwa margli miedziożelaznych zalega na niewielkiej głębokości, a w kilku miejscach wychodzi na powierzchnię, i tam znajdujemy najstarsze ślady działalności górnictwa miedzi w postaci licznych zapadlak wyrobisk górniczych o średnicy około 1 m, określanych jako pingi. Są to zawalone szyby o głębokości kilku metrów, nazywane w terminologii górniczej dukłami, które drażono aby dostać się do złoża. Margle miedziożelazne wybierano na odległość kilku metrów wokół dna dukli, nadając wyrobisku kształt dzwonu. Groźba zawału bądź nadmiernej napływu wody powodowały opuszczenie wyrobiska, i w pobliżu przystępowano do drażnienia następnej dukli aż do wybrania dogodnie położonej partii złoża. Do dziś zachowało się kilkadziesiąt zapadlak po dawnych dukłach. Głębiej zalegające złoża wymagały innej techniki udostępnienia i wybierania.

Podstawowym wyrobiskiem udostępniającym była sztolnia, która jest wyrobiskiem chodnikowym prawie poziomym drażonym ze stoku wzgórza. Sztolnie pełniły również funkcję podstawowego wyrobiska wentylacyjnego oraz odwadniającego kopalnię. Ponadto zazwyczaj z powierzchni wykonywano szyb do sztolni, co ułatwiało obieg powietrza w kopalni. Jednym wyrobiskiem świeże powietrze wchodziło i po przejściu przez wyrobiska podziemne jako zużyte wychodziło na powierzchnię drugim wyrobiskiem. Od sztolni drażono w marglu chodniki wybierkowe, których długość zależała od możliwości dostarczenia do przodków świeżego powietrza. Wyloty najważniejszych dawnych sztolni jak Charakter i Leszczyńskiej są obecnie zawalone i miejsca te są czytelne tylko dla specjalistów. W masywie

Widawy widoczne są ponadto zapadliska po szybach z XVIII i XIX wieku, których głębokość dochodziła od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów. Na wzgórzach na lewym brzegu Prusickiego Potoku zachowały się wyloty trzech upadowych wydrążonych w XX wieku przez przedsiębiorstwo BUHAG.

Czynna w drugiej połowie XIX wieku kopalnia „Stilles Glück” wybierała złoża systemem filarówym, który wymagał wykonania szeregu chodników, dzielących złoża na mniejsze partie, czyli filary. Struktura podziemnych wyrobisk była wtedy już znacznie rozbudowana. Z miejsca trafienia sztolnią Leszczyńską do pokładu wykonywano w nim pochylnie o długości 200 m zgodnie z kierunkiem wzniosu. Od pochylni drażono chodniki poziome, dzielące pole wybierania na filary o wysokości pochyłej od 40 do 80 m. Miękki margiel i spękany wapień urabiano przez wieki ręcznie używając do tego podstawowych narzędzi górniczych, którymi były żelazko i młotek oraz kilof. Żelazko jest klinem osadzonym luźno na trzonku, który przykładano do skały i pobijano młotkiem nazywanym przez górników perlikiem. Ponieważ żelazka tępiły się szybko podczas pracy, to górnicy zabierali ze sobą pod ziemię po kilka lub kilkanaście sztuk żelazek. Stępione narzędzia ostrzył codziennie kopalniany kowal. Urobek ładowano do niecek i wózków i transportowano pod szyb, gdzie wyciągano pojemniki za pomocą liny i kołowrotu na powierzchni. Sztolnie były rzadziej wykorzystywane jako wyrobiska transportowe.

W drugiej połowie XIX wieku zaczęto szczególnie w skałach twardych używać materiałów wybuchowych do urabiania. W kopalni „Lena” od chwili jej budowy skały urabiano głównie materiałem wybuchowym oraz młotkami pneumatycznymi. Kopalnia „Lena” posiadała rozbudowaną nowoczesną strukturę podziemnych wyrobisk. Złoża wybierano systemem ścianowym podłużnym, skały urabiano przy pomocy materiału wybuchowego, używana była obudowa drewniana poprzeczna oraz stalowa. W wyrobiskach eksploatacyjnych stosowano podszadanie wybranej przestrzeni jak i planowy zawał skał stropowych. W ścianach urobek odstawiano za pomocą przenośników stalowych albo za pomocą zgarniarek, w chodnikach pod ścianowych stosowano przede wszystkim przenośniki taśmowe.

Transport urobku w głównych chodnikach transportowych w kierunku szybu odbywał się w wozach kopalnianych z zastosowaniem elektrycznych lokomotyw przewodowych i akumulatorowych. Urobek z części podpoziomowej transportowano na podszybie przenośnika-

mi taśmowymi. Do oświetlenia używano do końca XIX wieku lamp olejowych, jako materiał oświetleniowy stosowano tój, a od połowy XVIII wieku również olej rzepakowy. Górnicy otrzymywali codziennie przed pracą porcję toju lub oleju w takich ilościach, aby wystarczyło go na całą dniówkę, kończący się tłuszcz w lampie był dla górnika sygna-

mi „Lena” odbywało się przy pomocy wydajnych pomp z napędami elektrycznymi.

Wzbogacanie rudy

Urobek wydobyty z kopalni był ubogi w rudę i wymagał wzbogacania. O ile roboty górnicze nie nastęrczały trudnych do rozwiązania problemów technicznych, to proces wzbogacania i przetapiania



tem, że to koniec dniówki. Górnikom, którzy oszczędzali w pracy przydzielony im tłuszcz, by wykorzystać go do oświetlenia w domu, groziła kara. W XX wieku stałe miejsca pracy oświetlone były lampami elektrycznymi, pracownicy dołowi zaopatrzeni byli w osobiste lampy karbidowe. Przy rozbudowanej strukturze wyrobisk podziemnych ich przewietrzanie stało się możliwe przez wprowadzenie wentylatorów mechanicznych i elektrycznych. Odwadnianie głębokiej ko-

margli miedziożelaznych wymagał dużej wiedzy i doświadczenia. Jak zaznaczono wyżej, minerały miedziożelazne występują w marglach jako bardzo małe drobinny [do 0,005 mm], które równomiernie impregnują skałę. Zawartość miedzi w skałach wynosi 0,5 do 1,5%. Większe skupiska minerałów rudnych występują sporadycznie. Charakter złoża miedziożelaznego w niecce leszczyńskiej powoduje, że oddzielenie minerałów rudnych od ska-



go uruchamiającego tłuczkę stęporową, są materialnym śladem stosowanej mało efektywnej, ale wtedy jedynej znanej techniki wzbogacania rudy. Słabe wyniki uzyskiwane podczas wzbogacania powodowały kilkukrotne przerwanie działalności górniczej, którą jednak po pewnym czasie ponownie uruchamiano licząc na "szczęście górnicze" i dotarcie do bogatej partii złoża. Dopiero postęp techniczny w hutnictwie i opracowanie w pierwszej połowie XX wieku technologii wzbogacania osadowych rud miedzionośnych przez flotację, umożliwiło ich pełne wykorzystanie. Flotacja jest to proces wzbogacania rozdrobnionych ziaren rudy w ośrodku wodnym przy użyciu odczynników flotacyjnych i wytwarzaniu pęcherzyków powietrza. Flotacja jest oparta na fizykochemicznych właściwościach minerałów; flotacji podlegają minerały użyteczne niezwilżalne przez wodę, w odróżnieniu od nieużytecznej skały płonnej, która jest zwilżana. Użyteczne minerały przyczepiają się do pęcherzyków powietrza i wypływają na powierzchnię cieczy, gromadząc się w pianie. Ziarna skał płonnych jako zwilżalne opadają na dno flotownika. Wzbogacanie rudy w procesie flotacyjnym zostało wprowadzone w wybudowanej pod koniec lat trzydziestych XX wieku kopalni w „Lena” w Wilkowie. Tu należy dodać, że w latach 1974 do 1979, to jest po zamknięciu zakładu górniczego, w zakładzie mechanicznej przeróbki rud „Lena”, prowadzona była przeróbka rud z kopalń Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego. Ruda przewożona była do zakładu „Lena” wagonami kolejowymi oraz samochodami ciężarowymi.

Opracował Andrzej Wojciechowski

Zdjęcia dzięki uprzejmości pani Jadwigi Guź

ły płonnej tradycyjnymi metodami przez wybieranie ręczne bogatych okruców i płukanie rozdrobnionego urobku, dawało bardzo słabe wyniki. Była to jednak przez wieki jedyna znana i stosowana metoda wzbogacania rud. Jakość rudy przy ręcznym wzbogacaniu oceniano optycznie. W rejonie Leszczyny ręcznie wybierano z urobku przede wszystkim skałę płonną, a pozostałą część urobku rozdrabniano w tłuczkach stęporowych. Rozdrobniony urobek płukano kilkakrotnie w korytach, gdzie następowało oddzielenie się cięższej skały rudonośnej od lżejszej skały płonnej. Uzyskany koncentrat, nazywany również szlichem, zawierał 12 do 15% miedzi. Jednakże uzyskanie większej ilości wzbogaonej rudy o odpowiednich parametrach nie zawsze się udawało. Potwierdziła to próba wzbogacania rudy z Leszczyny wykonana w 1661 roku z polecenia księcia legnickiego Ludwika. Kilkakrotne płukanie 3,5 tony rozdrobnionego urobku dało jedynie 50 kg koncentratu. Tak słaby wynik zniechęcił księcia do kontynuowania prac górniczych. Zachowane w Leszczynie w Dolinie Stęporkowej budowle pochodzące z XVIII wieku, a mianowicie trzy groble i zagłębienia po stawach do gromadzenia wody niezbędnej do płukania rudy i napędu koła wodne-



Dzisiejsze widokówki przedstawiają bardzo dużą Gospodę, która znajdowała się przy obecnej ulicy Grunwaldzkiej (dawniej Pücklerstrassa i Niderau). Miała ona nazwę Thalschlosschen. Podobnie jak inne gospody z tego okresu Thalschlosschen posiadała piękny tzw. „ogród piwny”, gdzie na świeżym powietrzu można było się ugościć. Z opisów reklamowych na widokówkach można prześledzić kolejnych właścicie-

li Gospody. Pierwsza kartka wysłana 25 sierpnia 1908 r. określa że właścicielem był F. Scholz. Kolejna widokówka z 26 lipca 1915 r. reklamuje gospodę jako własność Karla Brestricha. Na ostatniej widokówce z 9 lipca 1930 r. właścicielem Thalschlosschen jest kobieta - Maria Dilz. Oprócz tych trzech kartek z reklamą właścicieli są jeszcze inne przedstawiające gospodę z innej perspektywy.



Potężne zaplecze Gospody Thalschlosschen pozwoliło w przyszłości w tym miejscu założyć bazę PKS-u.

Piotr Klimaszewski

Nie da się ukryć, że na każdym kroku czuć wiosnę. Pięknie kwitnące drzewa, wszeghobecne kwiaty, budzące się po zimie rośliny, no po prostu jest pięknie! Korzystając z tej okazji, chciałbym przedstawić Wam kilka przedwojennych pocztówek z naszego rejonu w wiosennej odstonie. Wiosen-

na aurę uwieczniono na historycznych widokówkach m.in. Grodzka, Jerzmanic Zdrój oraz Złotoryi. Prawda, że pięknie? Czujecie ten ciepły podmuch powietrza i zapach kwitnących kwiatów? Jeśli tak to czas na spacer! Pozdrawiam...

Przemysław Markiewicz

Dobrze zainwestowane 1,5% Twojego podatku



Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

1987-2023

ECHO
ZŁOTORYI

- ✓ Koło Kresowian
- ✓ Klub Kolekcjonera
- ✓ Echo Złotoryi
- ✓ Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- ✓ Księgarnia Internetowa
- ✓ Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba

GALERIA SPONSORÓW



BAZALT®



Lena

Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT

konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax +48 76 8783 212



VITBIS
szklane bombki choinkowe



grysy bazaltowe



- * płukanki
- * kolorowe
- * posypki
- * mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 073

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta),
Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta),
Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak,
Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak,
Andrzej Wojciechowski.

Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska - kwiecień na Zakacławiu



Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok